NOWOŚCI ILLUSTROWANE

Prenumerata wynosi w Galicyi i Austryi: Kwartalnie kor. 8·75 Półrocznie kor. 17·50. Rocznie kor. 35. — Do Niemiec: Kwartalnie 9 kor. 50 hal. Półrocznie 19 kor. — hal. Rocznie 38 kor. — hal., z przesyłką pocztową. — W Ameryce: Kwartalnie 10 kor. 50 hal. Półrocznie 21 kor. 10 hal. Rocznie 42 kor. 20 hal., z przesyłką poczt.

Zmiana adresu kosztuje 40 hal.

Ceny ogłoszeń: za wiersz jednoszpaltowy petitowy 40 hal. — na ostatniej stronie lub w miejscu specyalnie zastrzeżonem 56 halerzy.

Wychodzi każdej soboty.

REDAKCYA i ADMINISTRACYA: KRAKÓW XE ulica Kazimierza Wielkiego L. 95 (dom własny)

Telefon Nr. 479.

[illegible]

Wyłączne zastępstwo na Lwów: KAROL BUCHSTAB, Biuro dzienników — Lwów, ul. Karola Ludwika 21.

Główny skład na Królestwo Polskie: Władysław Biernacki w Warszawie, Hoża 15.

Główny skład na Księstwo Poznańskie: M. Niemierkiewicz Poznań, plac Wilhelmowski 3.

Numer pojedynczy 70 halerzy.

Rok XV. | Kraków, 4 maja 1918. | Nr. 18.

Premier polski w Lublinie.



Dr. Jan K. Steczkowski (X) po odwiedzinach u austr. general gubernatora Lipošćaka (XX) (Wej. kwat. pras.)

Treść numeru: Internowani Legioniści na Węgrzech. — Zajścia w Krakowie. — Kresy polskie pod nowymi rządami. — Z walk na Zachodzie. Spóźnione echa świąt na froncie. — Na internowanych Legionistów i t. d.

Premier polski w Lublinie.

Nowy gabinet polski, utworzony w Warszawie po „przesileniu chełmskiem" przez p. Steczkowskiego, rozpoczął urzędowanie pod znakiem „pracy realnej" nad budową państwa polskiego. Zadanie w obecnych warunkach niezmiernie trudne, gdyż żadna z przeszkód, które zmusiły do ustąpienia poprzedni gabinet p. Kucharzewskiego, nie została bynajmniej usunięta. Pomimo to p. Steczkowski zabrał się energicznie do pracy, stojąc na stanowisku, że w najcięższych nawet warunkach nie należy opuszczać rąk, lecz przeciwnie — brać to, co się da i budować to, co w danych okolicznościach do budowania jest możliwe. Choć więc nowy rząd polski, tak samo jak i poprzedni, nie posiada najważniejszej atrybucyi rządu, t. j. — możności rządzenia, gabinet p. Steczkowskiego zajął się przedewszystkiem pracami przygotowawczemi, a więc organizacyą władz polskich, przedewszystkiem zaś przeprowadził wybory do Rady Stanu, która ma zebrać się 20 maja.

Po objęciu urzędowania p. Steczkowski nawiązał też naprężone po pokoju brzeskim stosunki z Wiedniem i Berlinem, a przedewszystkiem, wobec podziału Królestwa Polskiego na dwie okupacye, udał się do Lublina, gdzie nawiązał osobiste stosunki zarówno z miejscowymi przedstawicielami społeczeństwa polskiego, jak i z władzami austro-węgierskiemi.

Zamieszczona na tytułowej stronie fotografia przedstawia właśnie nowego premiera polskiego po odwiedzinach u jenerał gubernatora lubelskiego.



Kresy polskie pod nowymi rządami: Wkroczenie wojsk austryackich do Kamieńca Podolskiego
(Woj. kwat. pras.)





Spóźnione echa świąt Wielkanocnych:
Spowiedź wielkanocna żołnierzy 16 pułku strzelców w rowach strzeleckich
Kazanie kapelana 16 p. strzelców, ks. Walczaka, wobec oficerów, żołnierzy i cywilnej ludności.

Kresy polskie pod nowymi rządami.

Nowa faza wojny na wschodzie, która rozpoczęła się z chwilą wybuchu rewolucyi bolszewickiej w Rosyi, przyniosła kresowym ziemiom dawnej Rzeczypospolitej polskiej, które oszczędziły pierwsze lata wojny, wszystkie okropności zawieruchy wojennej. Rewolucyjne eksperymenty bolszewickie rozpętały tam najstraszniejszą wojnę domową i wytworzyły krwawy chaos, którego nie usunęło proklamowanie w Brześciu „republiki ukraińskiej". Nowy rząd nie miał dostatecznego wpływu i znaczenia aby mógł, pomimo radykalnych haseł zyskać posłuch. Niebawem też po zawarciu pokoju brzeskiego wkroczyły w granice nowego państwa wojska austryackie i niemieckie. W ten sposób dawne kresy Rzeczypospolitej polskiej, które przeszły przez piekło rządów bolszewickich, a następnie otrzymały niespodziewanie nową władzę — „rząd ukraiński" — znalazły się obecnie pod rządami władz okupacyjnych. Wśród wielu innych polskich miast kresowych otrzymał obecnie nowych władców Kamieniec Podolski, główne miasto Podola, niegdyś najważniejsza warownia Rzeczypospolitej polskiej. Starożytne to miasto bogate jest w liczne wspomnienia historyczne. Zdobyte w r. 1672 za Michała Korybuta przez Mahometa IV, pozostawało aż do r. 1699 w ręku Turków. W r. 1793 gród ten przeszedł w posiadanie Rosyi. Obecnie do Kamieńca Podolskiego, który włączono do „republiki ukraińskiej", wkroczyły wojska austryackie.



Kresy polskie pod nowymi rządami: Tren ukraińskich wojsk w Kamieńcu Podolskim.
(Woj. kwat. pras.)

Spóźnione echa świąt Wielkanocnych.

Cztery tygodnie dzielą nas już wprawdzie od świąt Wielkanocnych, mimo to musimy się ku nim cofnąć wspomnieniem z racyi nadesłanej nam z frontu wschodniego seryi fotografii, odnoszących się do tej uroczystości.

„Krakowskie dzieci", należące do 16 pułku strzelców, pozostającego pod komendą pułkownika Hohenauera, choć zdala od swego miasta rodzinnego, nie zapomniały o tem, jak to dawniej, w pokojowych czasach, obchodziło się u siebie Wielkanocne święta. O ile więc stosunki na to pozwoliły, urządzono wszystko tak, aby przypominało dawne, szczęśliwsze, bo pokojowe czasy. Zwłaszcza procesya rezurekcyjna, celebrowana przez kapelana, ks. Walczaka, wypadła nad wyraz podniośle i wspa-

niale. Wziął w niej udział cały korpus oficerski pułku wraz z komendantem, wszyscy wolni od służby żołnierze i tłumy miejscowej ludności.

Inicyatywa do uroczystego obchodzenia świąt Wielkanocnych wyszła od komendanta pułku, pułkownika Hohenauera, dokładającego zawsze starań, by zaspokoić duchowe i cielesne potrzeby swych podwładnych.

Internowani Legioniści na Węgrzech.

Los Legionistów, internowanych na Węgrzech, stanowi obecnie jedną z boleśniejszych trosk społeczeństwa polskiego. Poza materyalną pomocą jest też niezbędną poważna akcya polityczna ze strony Koła polskiego, które powinno użyć wszystkich swoich wpływów, aby wyjednać u władz centralnych jak najpomyślniejsze rozwikłanie tej przykrej sprawy. Dotychczas jednak brak było konkretnych wiadomości zarówno o akcyi Koła w tym kierunku, jak i o zamiarach rządu. Dopiero obecnie ogłoszono w tej sprawie oficyalne informacye. Jak donosi c. k. Biuro korespondencyjne na posiedzeniu komisyi wojskowej minister obrony krajowej Czapp, odpowiadając na pytania członków Koła polskiego w sprawie Legionów, udzielił wyjaśnień, które streszczają stanowisko władz austryackich w tej bolesnej dla narodu polskiego sprawie. Minister wyłuszczył stanowisko czynników wojskowych następująco:

I. Aresztowanie byłych legionistów w głębi kraju, pominąwszy motywy aresztowania, dotyczące wszystkich osób wojskowych — może w zasadzie nastąpić tylko wtedy, jeżeli nie zdołają się wylegitymować jako byli legioniści rozwiązanego polskiego korpusu posiłkowego, względnie jeżeli się ich ujmie z dokumentami podróży, nielegalnie wystawionymi. Wszyscy inni byli legioniści, którzy dziś zgromadzeni są w odnośnych ciałach uzupełniających w głębi kraju, będą traktowani na równi z członkami siły zbrojnej, przydzielonymi do tych ciał, mają przeto równe prawo do przysługujących tym członkom ulg (wolny wychód i t. d.).



Spóźnione echa świąt Wielkanocnych: Procesya rezurekcyjna urządzona na froncie staraniem 16 p. strzelców.

II. Ministerstwo obrony krajowej w najbliższym czasie zarządzi, żeby byli legioniści, jeszcze niewyszkoleni wojskowo lub wyszkoleni niedostatecznie, tacy, których sąd uwolnił, lub przeciw którym wstrzymano postępowanie sądowe, nie byli trzymani w areszcie, lecz żeby ich po stawieniu się do popisu odsyłano do ich ojczystych ciał uzupełniających, celem dalszego wyszkolenia. W tym samym celu należy odsyłać do odnośnych ciał uzupełniających wojskowych (obrony krajowe) także takich byłych legionistów, którzy dotychczas przydzieleni byli po grup ćwiczebnych armii nad Soczą. Po ukończonem wyszkoleniu będą tacy byli legioniści przydzieleni do grup wyszkolenia w obrębie armii nad Soczą. Byli członkowie Legionów, nieobowiązani już, albo jeszcze nieobowiązani do służby wojskowej, którzy dotychczas znajdują się w Huszt i w okolicy, z mocy rozkazu komendy naczelnej z 31 marca b. r. nie mają być posłani do armii nad Soczą, lecz mają być odesłani wprost do ojczyzny.





Spóźnione echa świąt Wielkanocnych:

Komunia św. żołnierzy 16 pułku strzelców

Rezurekcya na froncie 16 p. p. Celebransa prowadzą pułk. Hohenauer i kap. Franz.

III. Byli oficerowie Legionowi, o ile nie mają c. i k., c. k. i królewsko węgierskiej szarży oficerskiej, będą traktowani wprawdzie według tych samych zasad, jak byli żołnierze legionowi, przyznano im jednak szereg ulg, jak np. natychmiastowe zamianowanie felfebami, skrócenie czasu wyszkolenia w szkole dla oficerów rezerwowych, wliczenie czasu służby przy mianowaniach na chorążego rezerwy (posp. ruszenia) użycie obowiązanych do posp. ruszenia lekarzy legionowych jako obowiązanych do posp. ruszenia lekarzy cywilnych i t. p.

IV. Byli oficerowie legionowi, wstępując do służby w armii polowej, otrzymają krótki urlop według ogólnych postanowień dla członków siły zbrojnej. O większych urlopach niema mowy, oczywiście już ze względów sprawiedliwości wobec tychże członków. Samo przez się rozumie się, że byłym legionistom, pociągniętym do służby wojskowej, dawać się będzie urlopy na studya, według postanowień obowiązujących dla członków siły zbrojnej.

V) Byli członkowie polskiego korpusu posiłkowego polskiej przynależności państwowej będą oddani do rozporządzenia polskiej sile zbrojnej. Odesłanie ich do Królestwa Polskiego, względnie ich przydzielenie do formacyi polskiej siły zbrojnej, nastąpi natychmiast, skoro tylko ustalona będzie stacya oddawcza w Królestwie Polskiem. Odnośne rokowania są w toku.

Inni członkowie wspomnianego korpusu, zebrani w głębi kraju, a należący do obcych państw (oficerzy, aspiranci na oficerów, osoby postawione na



Internowani Legioniści na Węgrzech: Szkoła podchorążych pierwszego pułku artyleryi w Bustyahaza.





Rozbita angielska kolumna trenu na drodze wiodącej do Albert. **Z walk na Zachodzie:** Szczątki angielskiego tanku na polu walki pod Albert. (Fot. Bufa)

równi z oficerami, żołnierze) będą traktowani następująco:

1) Poddani państwa niemieckiego odesłani będą przez Bogumin do Raciborza, do tamtejszej niemieckiej komendy etapowej.

2) Poddanych republiki wielkorosyjskiej i ukraińskiej należy w celu przyszłej wymiany odtransportować: a) do obozu internowanych w Maros Vasarhely, o ile znajdują się w krajach korony węgierskiej; b) do stacyi wychodźczej w Oświęcimiu, o ile przebywają w Galicyi i na Bukowinie; c) z innych części Austryi do Drosendorf, względnie do Weithofen nad Litawą; d) tych, którzy przebywają w obrębie c. i k. sądu wojskowego w Lublinie, zostawić tamże.

3) Obywatele włoscy, amerykańscy i innych państw nieprzyjacielskich mają być odstawieni do obozu internowanych w Kastenau pod Lincem.

VI Osobista swoboda byłych legionistów, internowanych w Huszt i w okolicy, będzie oczywiście ograniczoną tylko na czas wytoczonego przeciw nim postępowania sądowego i to tylko o tyle, o ile jest to przewidziane w ramach przepisów dla członków siły zbrojnej.



Internowani Legioniści na Węgrzech: Grupa oficerów internowanych w Bustyahaza.

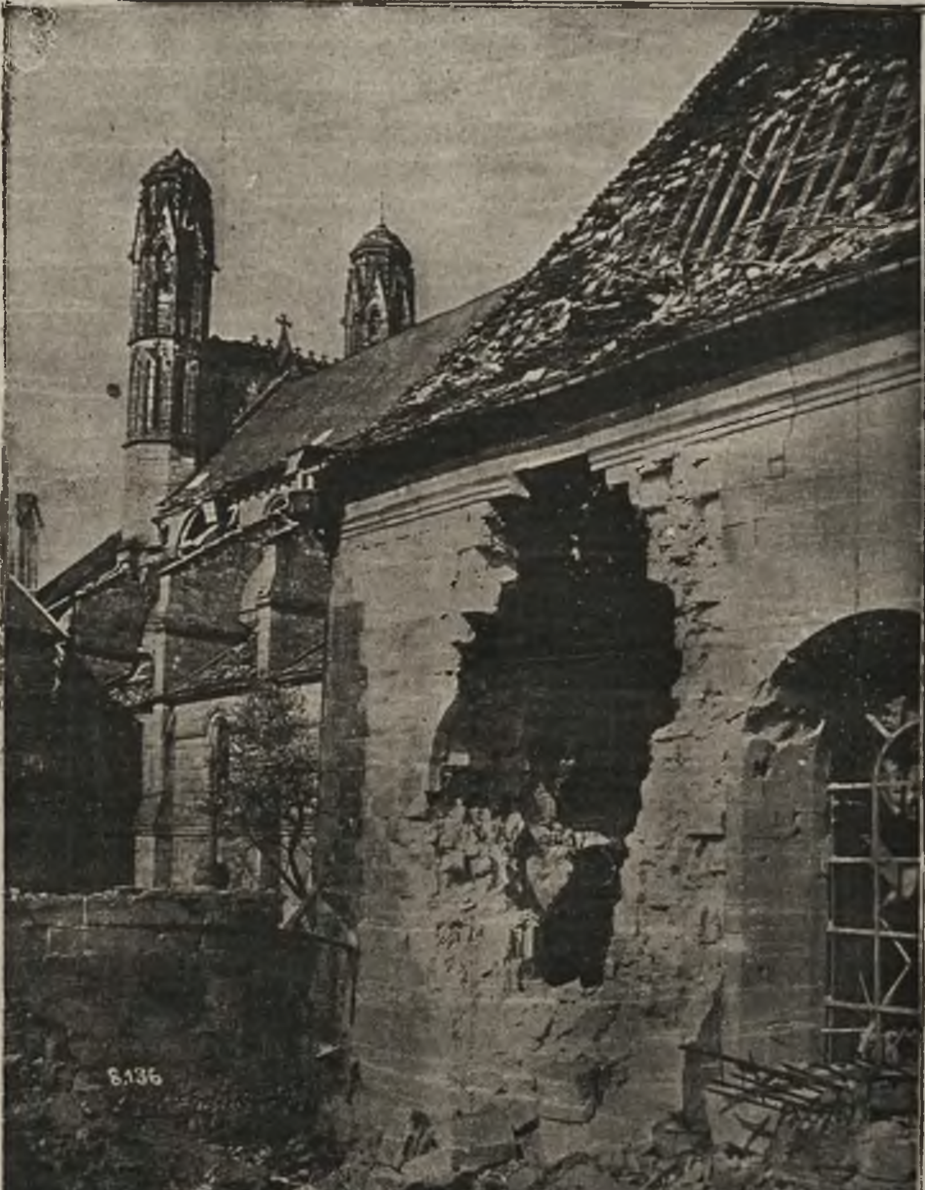
Zgon dziennikarza.

W Warszawie zmarł po kilkutygodniowej chorobie ś. p. Józef Sobieszczański, dziennikarz i literat, długoletni korespondent „Nowości Illustrowanych". Zmarły był kolejno współpracownikiem „Kraju", „Kuryera" i ostatnio „Nowej Gazety". Popularny w życiu stolicy, a zwłaszcza w jej kołach sportowych i gimnastycznych ś. p. Józef Sobieszczański, jak w życiu, tak i w działalności swej dziennikarskiej rozwijał zasadę: „w zdrowem ciele zdrowy duch". Znał doskonale duszę zbiorową Warszawy i był jej wybornym illustratorem. Wspólnie z Wiktorem Gomulickim opracował i wydał „Przewodnik po Warszawie", o wartości i celowości którego świadczy fakt, iż jest on już wyczerpany. — Upodobanie do zabytków historyi i sztuki objawiło się w jedynej swego rodzaju pasyi do kolekcyonowania. Dzięki wieloletniej skrzętności i szperaniu, pomimo skromnych zasobów z pracy dziennikarskiej płynących, zdołał zgromadzić dosyć cenny zbiór obrazów, broni polskiej oraz mebli i okazów zdobnictwa dawniejszego.

Ś. p. Józef Sobieszczański był wzorem cnót koleżeństwa, to też śmierć jego odezwie się bolesnem echem w sercach wszystkich towarzyszów pracy. Zmarł w pełni sił, w 43 roku życia, podkopawszy zdrowie długoletnią nocną pracą dziennikarską.

Cześć Jego pamięci!





Z walk na Zachodzie: Kościół Najświętszej Panny Maryi w Laon, uszkodzony pociskami artyleryi (Fot. Bufa).

J. H. Rosny.

Podwójne życie Piotra de Givreuse.

(Z francuskiego tłomaczyła M. J MIGOWA)

2

Na drugim końcu baraku lekarz asystent dawał jakieś porozumiewawcze znaki.

– Czy pan masz brata?

Wyraz zdziwienia przemknął po jego bladej twarzy.

– Brata?... Ja?...

– Tak jest, brata, który pana przypomina rysami twarzy i postawą?

– Jestem jedynakiem.

Z piersi rannego wydobyło się długie, głębokie westchnienie. Powieki zadrgały silniej i opadły na zamglone oczy.

– To okropne! – rzekł Herbelle, przesuwając dłonią po czole.

– To nie jest wcale okropne – odpowiedziała pielęgniarka i uczyniła znak krzyża na piersiach i czole. – To jest wyższa rzeczywistość.

Naczelny lekarz spostrzegł teraz znaki, jakie mu dawał jego asystent. Szybko skierował się w głąb baraku. Drugi Givreuse miał jeszcze oczy otwarte, ale już także powleczone mgłą.

– Pańskie nazwisko brzmi: Piotr de Givreuse?! – krzyknął prawie Herbelle.

To pytanie obudziło rannego. Odpowiedział:

– Tak... Piotr de Givreuse...

– Urodzony w Avranches, w r. 1889?

– Tak...

– Czy pan masz brata?

Widać było na twarzy rannego wielki wysiłek myśli. Sennym głosem zaszemrał wreszcie:

– Ja nie mam brata... Wcale nie mam brata..

Powieki opadły na oczy.

– Przypomnij pan sobie – nalegał Herbelle.

Ale Givreuse nie odpowiedział ani słowa.

– – – – – – – – – – – – – – –

W godzinę później Herbelle prowadził dwóch lekko rannych żołnierzy z pułku *** do łóżka „pierwszego" Piotra Givreuse.

– Czy znacie tego człowieka? – zapytał.

– Naturalnie, że znamy – odparł jeden z żołnierzy. – Nazywa się Givreuse.

Lekarz obrócił się do drugiego.

– A wy?

– Napewno on... Nie jest wprawdzie z mojej kompanii, ale znam go dobrze.

– Czy był jaki inny Givreuse w tej samej kompanii?

– Inny?... Chyba, żeby był niewidzialny. Ja go przynajmniej nie widziałem.

– Ani ja.

– Nie słyszeliście nigdy, aby ktoś mówił o innym Givreusie, który jest zupełnie podobny do tego?

– Nigdy!

Herbelle melancholijnie pokiwał głową.

– Chodźcie za mną!

Poprowadził żołnierzy do „drugiego" Givreuse.

– Patrzcie!

Zrobili ogłupiałe miny.

– Ależ to wykapany, od czuba do pięt! – zawołał ten, który pierwszy rozpoznał rannego. – To jest ten sam!.. Bliźniak!...

– Bliźniak!... – powtórzył kolega.

Dokor Herbelle milczał. Obaj żołnierze mruczeli zdumieni:

– Nie!... Coś podobnego!...

Lekarz kazał im powrócić do swojego ambulansu.

ROZDZIAŁ II.

Pozostawali w stanie odrętwienia przez szesnaście godzin.

Przewieziono ich do Gavres, gdzie przybycie ich wywołało w szpitalu wielkie poruszenie, u kilku kobiet graniczące nawet z przestrachem.

Naczelny lekarz szpitala, doktor Formental, miał swoje powody, dla których nie umieścił ich w ogólnej sali.

Ten niezwykły wypadek zaciekawiał go i zdumiewał. Miał przed sobą podwójną osobowość ludzką.

Wspaniała i jednocześnie straszliwa tajemnica życia mogła mieć, wedle niego, jedno tylko rozwiązanie: śmierć bez jutra...

A jednak w duszy jego było pewne podłoże religijne.

W przeciwieństwie do doktora, naczelna pielęgniarka, Ludwika de Bréhannes, posiada wiarę niezachwianą, wolną od wątpliwości i przeniknięta mistycyzmem.

We wtorek rano Ludwika de Bréhannes i doktor Formental czuwali koło posłania jednego z dwu Givreuse'ów.

Nazwano go Givreuse I szy, aby go odróżnić od tamtego, którego zapisano jako Givreuse II gi.

Żołnierz leżał nieruchomo, nieczuły na obecność ludzi, na głosy, na światło.

Sen jego był, zdało się, nienormalnie głęboki Oddychał równomiernie i bez wysiłku Pierś podnosiła się rytmicznym ruchem.

– Ciepłota 37 1 – powiedziała Ludwika de Bréhannes. – Puls 75.

– Nie pojmuję tego – rzekł w zadumie Formental – takie anormalne odrętwienie nie godzi się z równie normalnym stanem ciepłoty ciała.

– To jest poprostu dobry znak! – zauważyła Ludwika de Bréhannes. – Taki odpoczynek snać potrzebny jest ciału.

Uśmiechnęła się jakimś surowym uśmiechem. Ta wysoka kobieta, o błyszczących oczach, nosie nieco zadartym i ponsowych ustach, miała usposobienie despotyczne.

Dwie młode pielęgniarki stały niedaleko. Były wzruszone. Jedna z nich szepnęła:

– Takie długie uśpienia poprzedzają czasem reinkarnację.

Ta, która to powiedziała, nosiła imię Djany Montmaure i była zwolenniczką okultyzmu i spirytyzmu.

Formental posłyszał:

– Jeżeli sprawozdanie dra Herbelle jest zgodne z rzeczywistością – odparł – to mamy tutaj do czynienia z czemś krańcowo przeciwnem do reinkarnacyi. Jak dotychczas, ten niezwykły wypadek przekracza granice rzeczy zarówno klasycznie nadzmysłowych, jak klasycznie zmysłowych.

– Co pan rozumie przez określenie: rzeczy klasycznie nadzmysłowe? – rzuciła szorstkim tonem zapytanie Luiza.

– Myślę o wszystkich zjawiskach religijnych, notowanych przez Naukę Objawioną i o wszystkich cudach mistycznych.

Pani de Bréhannes zaśmiała się cicho.

– Pani się śmieje?... Niech pani pomyśli tylko: ci dwaj ludzie nie znają się wcale. Żołnierze pułku Nr. *** widywali jednego wyłącznie Givreuse'a, a tymczasem każdy z tych dwóch Givreuse'ów twierdzi, że urodził się w Avranches w r. 1889. Ich dokumenty osobiste są równie identyczne, jak ich osoby, a w końcu otrzymali oni te same, ale to absolutnie te same rany.

Djana Montmaure zauważyła niesmiało:

– Być może, jeden z nich jest sobowtórem drugiego?..

– Sobowtór?... Hm... To by'oby coś na kształt cienia, podczas gdy tutaj mamy do czynienia z dwoma jednakowemi ciałami.

– Oni obaj odznaczają się niezmierną lekkością ciała – wtrąciła druga młoda pielęgniarka – każdy z nich nie waży więcej niż dziecko.

Ta uwaga zastanowiła doktora Formentala.

– Trzeba ich zważyć – rzekła Ludwika de Bréhannes.

Doktor wydał odpowiednie polecenia.

Wózki, służące do przewożenia rannych do sali operacyjnej, zajechały po obu Givreuse'ów. Zważono ich.

– Trzydzieści siedem kilo, dwieście gramów... Trzydzieści siedem kilo dwieście piętnaście gramów... – oznajmił sanitaryusz, który nosił imię Karola.

– W praktyce jest to ten sam ciężar. W rzeczywistości waga anormalna. Tacy dobrze zbudowani ludzie!... Toż to połowa przypuszczalnej wagi – rzucił gorączkowo dr. Formaental. – Karol, trzeba ich zmierzyć!

Karol przyniósł aparat mierniczy, skonstruowany wedle najnowszych amerykańskich wzorów. Obu rannych zmierzono po kolei.

– Trochę mniej niż 1·74 – skonstatował Karol.

Doktor Formental sprawdził bardzo starannie.

– Tak... brakuje coś około dwóch milimetrów... No, a teraz drugi...

– Prawie równo 1·74 – powiedział Karol może milimetr mniej.

– W książeczce zanotowano miarę metr siedemdziesiąt cztery. Najmniejsza różnica w położeniu ciała może wyjaśnić te drobne wahania. Oni obaj stanowczo mają tę samą postawę i tę samą anormalną wagę ciała. Kończy się tutaj nasze zwykłe rozumowanie, bo zaczyna się logika tajemnicy, logika absurdu. A oni śpią ciągle!

– Bo jeszcze jakaś cząstka ich istoty pozostała na tamtym świecie – szepnęła Djana Montmaure.

Nikt nie odpowiedział.

ROZDZIAŁ III.

Pod wieczór Djana Montmaure zasiadła przy łóżku Givreuse'a „pierwszego". Jakaś mistyczna ciekawość pchała ją ku niemu.

Pilnie obserwowała jasną twarz rannego i marzyła o tych mrokach niezmierzonych, w których toną gwiazdy i wszystkie istoty żywe.

Ona nie dziwiła się już. Czyż samo życie, choćby najprostsze, nie jest czemś, co przekracza granice najbujniejszej, najśmielszej wyobraźni ludzkiej?

Nagle zadrżała. Dwoje wielkich oczu, barwy szmaragdów, patrzyło na nią, a potem senny głos wyjąkał:

– Jestem jedynakiem...

Zmieszana zapytała:

– Dlaczego mi pan to mówi?

– Bo mnie o to pytano...

Szmaragdowe oczy wbiły się na chwilę w bladą twarz Djany, poczem zwróciły się w inną stronę.

– Gdzie jest naczelny lekarz?... Czy przeniesiono mnie na inną salę?...

Nachyliła się nad nim i łagodnym, słodkim głosem odpowiedziała:

– Nie, jesteś pan już w polowym szpitalu..

– Więc ja spałem?

– Tak jest.

– Czy długo?

Zawahała się, ale nie umiała kłamać.

– Dwa dni.

– Dwa dni!... – wyszeptał, silnie poruszony – ależ to okropne!... A tak, wiem... moje rany... Dostałem w głowę i... gdzie jeszcze?

– W nogę.

– Tak... w nogę... Czy moje rany są niebezpieczne?

– O, bynajmniej.

– Więc będę mógł pisać?

– Jeszcze nie teraz... trochę później.

– Parę słów tylko... do matki i...

Przerwał i znowu wpatrzył się w Djanę, tym razem badawczo.

– Czy siostra jest pewną?... Niema niebezpieczeństwa?...

– Doktor twierdzi, że nie.

Umilkł. Oczy miał ciągle jeszcze zmącone Twarz zesztywniałą i jakby widmową.

– To dziwna rzecz... ten długi sen – zauważył po chwili. – Powinienbym czuć się wypoczętym, tymczasem jestem niezwykle znużony i taki słaby... słaby...

– To zupełnie zrozumiałe.

– Zrozumiałe? Być może. Jednakowoż zdaje mi się, że przydarzyło się coś nadzwyczajnego.

– Dlaczego się panu tak zdaje? – podchwyciła żywo.

– Sam nie wiem... takie mam wrażenie. Wszystko wydaje mi się niesłychanie dalekie n... o, tak dalekiem...

– Dalekiem... w przestrzeni?

– Nie wiem. To tak jakby istniała jakaś przepaść bezbrzeżna pomiędzy chwilą, kiedy zostałem ranny, a dzisiejszym dniem.

Przez minutę oboje milczeli, pogrążeni w zadumie.

– Pić mi się chce – rzekł wreszcie ranny.

Podała mu napój. Pił chciwie, a potem zapytał:

– Zwyciężamy jeszcze ciągle?

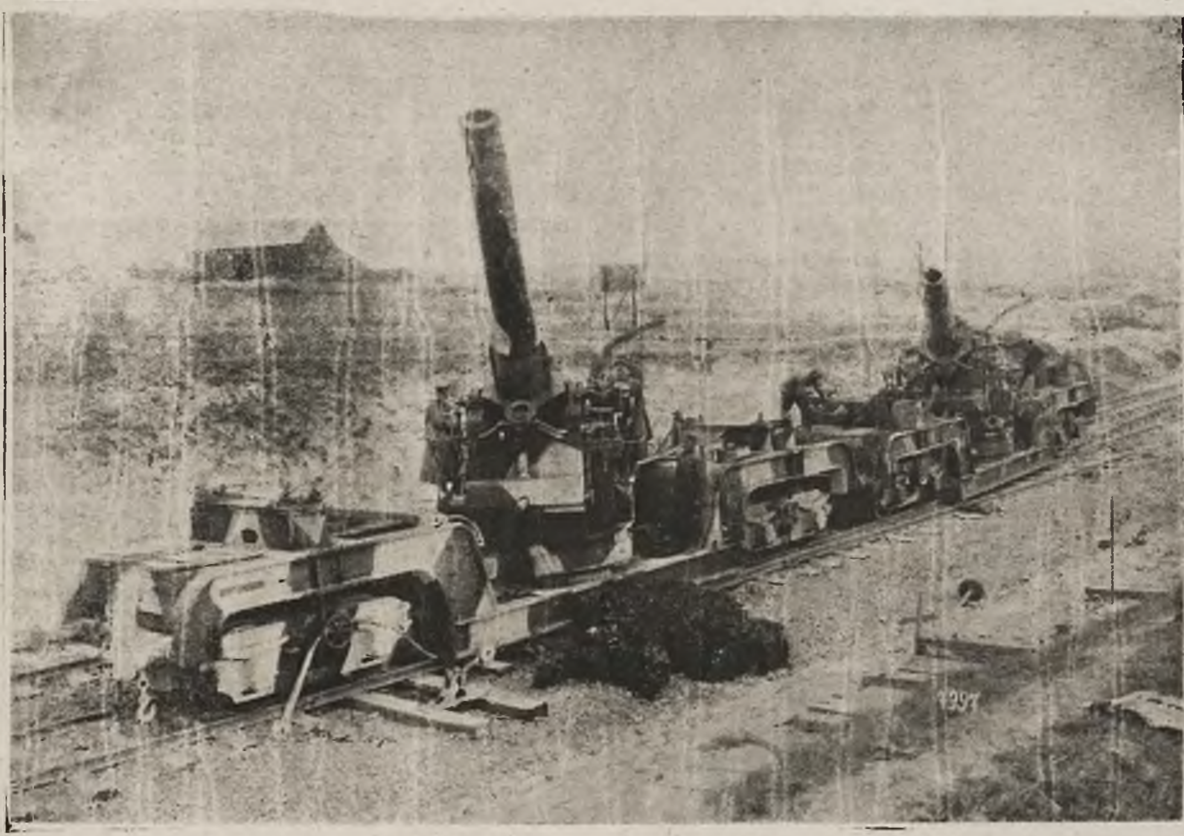
– Zwyciężamy.

Uśmiechnął się łagodnie.

– Myślałem, że nadszedł już czas ostatni, że Francya umiera. Co nas ocaliło? Jaka siła zbudziła się w łonie ziemi francuskiej? Czy może w sercach ludzi?...

Głos jego był łamliwy, słaby, poważny, jednak o jakimś nieokreślonym odcieniu. Przypominał wodę, która w oddali gdzieś spada po kamieniach w przepaść.

(Ciąg dalszy nastąpi)



Z walk na Zachodzie: Olbrzymie działa angielskie na szynach, zdobyte w ostatnich walkach (Fot. Bufa)

Na internowanych Legionistów.

Aby choć w części ulżyć ciężkiej doli Legionistów, internowanych w obozach na Węgrzech, okazała się niezbędną wydatna pomoc materyalna społeczeństwa. Ze wszystkich stron kraju popłynęły też składki, które choć nie mogły zaspokoić wszystkich potrzeb licznej rzeszy polskiego żołnierza, zaświadczyły przynajmniej, że cały polski ogół współczuje z nimi w tej krytycznej dla narodu chwili. Pomiędzy innemi miastami zaznaczyło swą ofiarność na ten cel i Jasło, gdzie na dochód internowanych Legionistów dano dwa przedstawienia amatorskie.

Dnia 6 kwietnia b. r. kółko amatorskie Tow. „Zgoda“ odegrało komedyę p. t. „Świat bez mężczyzn“. W głównych rolach wystąpili z powodzeniem p. Ignacy Szufa i p. Cecylia Koperówna, również znakomicie grała p. Kulikówna. Całość wypadła bez zarzutu. Inicyatorem tego przedstawienia był p. Hanytkiewicz. Czysty dochód przyniósł 700 koron.

Drugie przedstawienie na ten sam cel odbyło się dnia 13 kwietnia. Kółko miłośników sztuki odegrało dramat J. Słowackiego p. t. „Horsztyński“. W popisowych rolach wystąpili: p. Malicki (Horsztyński), p. Szczepański, p. Brydówna, p. Filarska, p. Girsching, którzy wywiązali się świetnie ze swego zadania. Całość wypadła bardzo dobrze.

Dochód z przedstawienia, które zorganizował Uniwersytet ludowy im. Adama Mickiewicza, wyniósł przeszło 1000 koron.





Na internowanych Legionistów:
Wykonawcy komedyi „Świat bez mężczyzn“, odegranej przez kółko amatorskie w Jaśle. „Horsztyński“ Słowackiego w Jaśle.

Z walk na Zachodzie.

Walki na froncie zachodnim weszły w nową fazę. Niemcy po pewnej przerwie podjęli nową ofenzywę we Flandryi. Bitwa przeniosła się dalej na północ, w łuk koło Ypern, w którym Anglicy tak uporczywie przebijali się w lecie ubiegłego roku ku wzgórzom wschodnim, broniącym dostępu do twierdzy. Passchendaele było tu najbardziej na wschód wysuniętym punktem flandryjskiego frontu. Armia generała Arnima ruszyła więc do ataku, gdyż ten łuk, na flance niemieckiej wysuwający się na wschód głęboko, poważne przedstawiał niebezpieczeństwo dla zdobyczy niemieckich na południe od Ypern, w łuku, który sobie wybili ku zachodowi po zajęciu Armentieres. Anglikom nie pozostawało nic innego, jak rozpocząć odwrót strategiczny, by nie narażać raz jeszcze wojsk swych na los, który je spotkał w Armentieres samem. Anglicy zrezygnowali dobrowolnie z tego obszaru, który ofenzywą zeszłoroczną zdobyli, cofając się na linię potoku Steen, na którego brzegu wschodnim utrzymali tylko przyczółek mostowy w miejscowości St. Julien.

Niektórym sprawozdawcom wojskowym niemieckim zdawało się przez chwilę, że ten odwrót strategiczny angielski doprowadzi do porzucenia i twierdzy Ypern. Przypuszczenie było oczywiście bardzo przedwczesne. Generalissimus Foch z całą forsą rzucił w tę szczerbę świeże rezerwy francuskie. W drodze mają znajdować się podobno wojska włoskie, które również wesprzeć mają obronę tego najdotkliwszego niezawodnie w całym froncie koalicyjnym punktu. Z drugiej strony notują również pojawienie się na terenie belgijskim, we Flandryi, wojsk austro-węgierskich, które wziąć mają udział w bitwie o Ypern.

A jest czego bronić tutaj po stronie koalicyjnej. Ypern, to potężny filar północnego frontu, który odpiera wszelkie fale niemieckiego pochodu, zmierzające do brzegu morskiego. Tutaj znajduje się przyczółek mostowy, czuwający nad kanałem, wiodącym do Ysery w południowym kierunku. Przestrzeń dalej na północ broniona jest już przez samą naturę. Obszar, który po otwarciu śluz i tam ka-



Z walk na Zachodzie: Starożytny ratusz w zajętej w czasie ostatniej ofenzywy przez Niemców miejscowości francuskiej Noyen. (Fot. Pr. B. Lip.)

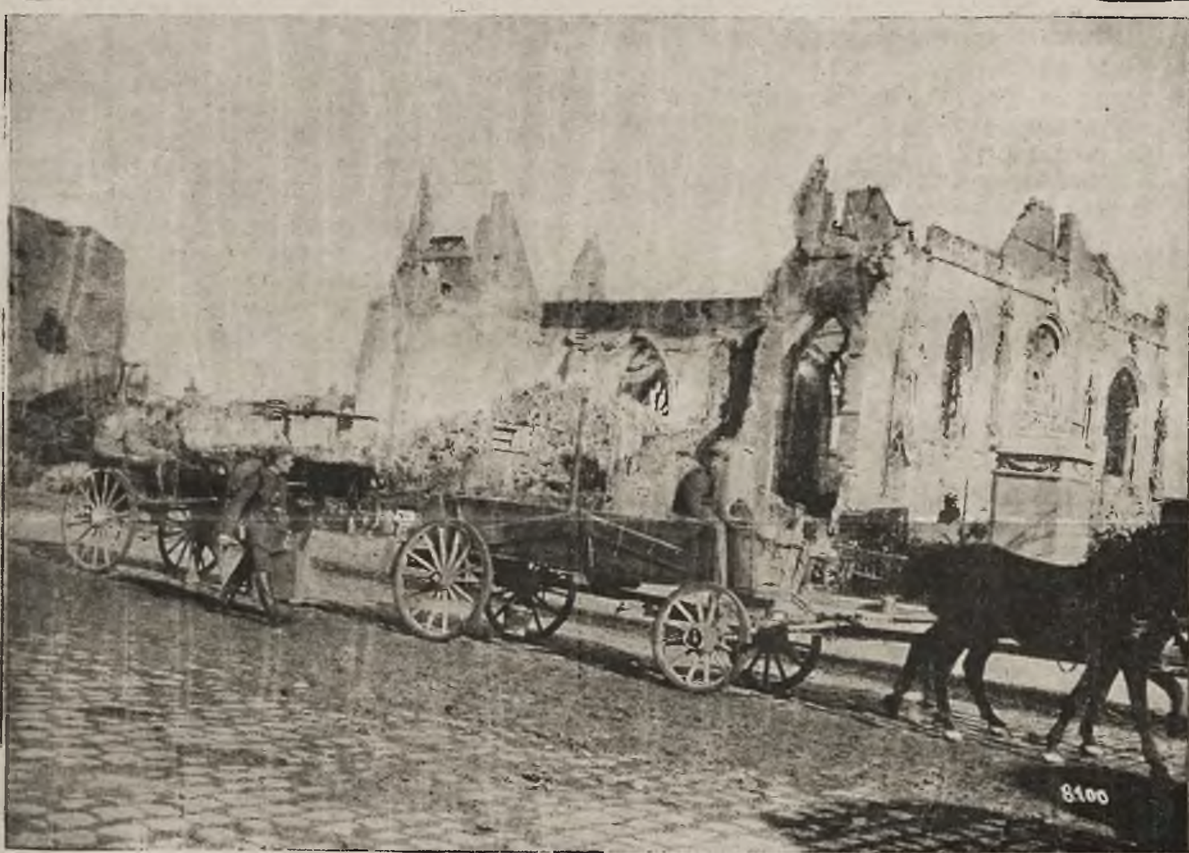
nałowych, na początku wojny zalano całkowicie wodą, najskuteczniejszą stawiał Niemcom we wszelkich dalszych wysiłkach przeszkodę. Oto powód, dlaczego Niemcy obecnie, wymijając tę najprostszą drogę, rozpoczęli swój atak od południowego wschodu, rozszerzając zwolna a systematycznie zdobycze swe na północny zachód. I ten jest powód, dla którego największy nacisk obecnie zwróci się niezawodnie ku Ypern. Zdobycie tego przyczółka mostowego na kanale Ysera Commines otwiera Niemcom prostą drogę do Calais.

Sprawozdawcy wojskowi angielscy donieśli z satysfakcyą swoim dziennikom, że ofenzywa niemiecka nad rzeką Lys utknęła podobnie, jak przedtem ofenzywa niemiecka nad Sommą. Obydwa punkty węzłowe kolei Amiens oraz Hazebrouk, w które wymierzony był atak niemiecki, jak w środki, wiodące do celu, znajdują się dotąd w rękach angielskich. To wszystko prawda. Lecz z uderzeń niemieckich, które zwolna a systematycznie przeprowadzają najwidoczniej jeden szeroko zakreślony, a obliczony na czas dłuższy plan strategiczny widać. Bitwa olbrzymia trwa wciąż i tylko kolejno jedne odcinki chwilowy spokój ogarnia, gdy na innych ruch się zaczyna. Gdy w pewnym odcinku Niemcy zdołają się wedrzeć na znaczniejszej przestrzeni w nieprzyjacielskie pozycye, następuje zastój chwilowy, który służy nietylko do ustalenia się w nowych pozycyach, lecz zarazem do ubezpieczenia skrzydeł przez nowe uderzenie, by nie narażać się na kontruderzenie od flanki. Bitwa ruchoma przybrała tu więc inny charakter, aniżeli ten któryśmy obserwowali na terenie Królestwa Polskiego, czy w Galicyi, Serbii, Rumunii, czy we Włoszech. Z jednej strony olbrzymie siły, które przeciwnik rzuca natychmiast w najbardziej zagrożone miejsca, z drugiej zupełnie inna moralność żołnierza, jego zdecydowanie na walkę do upadłego, powodują, że postępy tu mogą być tylko powolne, wywalczane żmudnie krok za krokiem.

To są początki bitwy dopiero, która na tym terenie rozegrać się musi. Z tej konieczności w całej pełni zdają sobie sprawę Anglicy. Ich apel do Kanady o pomoc ma zmobilizować wszelkie siły, które świat anglosaski ma do dyspozycyi. Cesarstwo indyjskie także oferuje Anglikom do dyspozycyi do dziesięciu milionów żołnierzy. Wyczerpanie wszelkich możliwych zasobów u siebie w domu zapowiada mianowanie ministrem wojny lorda Milnera, a tosamo u siebie zamierzają przeprowadzić Stany Zjednoczone. Ta straszliwa bitwa narodów, gdzie najwyższym wysiłkom niemieckim przeciwstawiona będzie cała potęga świata koalicyjnego, czeka nas jeszcze i to zapewne nie w najbliższych tygodniach.



Z walk na Zachodzie: Zburzone domy w Comines we Flandryi. (Fot. Lip B. Pr.)



Z walk na Zachodzie: Ruiny zbombardowanego kościoła katedralnego w Peronne (Fot. Bofa)



Z walk na Zachodzie: Pozostawione przez Anglików ciężkie działo (Fot. Bufa)



Zgon dziennikarza: S. p. Józef Sobieszczański, współpracownik pism warszawskich i korespondent „Nowości Illustrowanych".

Piotr Zaccone

Tragiczna noc

Tłumaczyła z francuskiego: Marya Segeny

28

– Paskalu! – zapytał po chwili Lopez głosem stanowczym i silnym – Czy jesteś gotów być mi posłusznym we wszystkiem, czego od ciebie zażądam?

– Tak! – odpowiedział, patrząc z przestrachem w stronę mówiącego.

– A więc pójdziesz za mną?

– Jestem gotów!

– I będziesz mówił? – indagował dalej Lopez, trzymając go pod wpływem swojego wzroku.

– Będę mówił.

– Lopez odwrócił się ku Fernandzie, która stała zdumiona, nie wiedząc, co o tem myśleć.

– Widzi pani – rzekł spokojnie – załatwiłem się z nim bez trudności. Odpowiada mi z zupełnem posłuszeństwem. Pan de Compans dalekim jest do odgadnięcia tego, co go czeka za chwilę. Oto już godzina stosowna się zbliża, musimy iść.

Fernanda zatrzymała go ruchem ręki.

– A Frank? – zapytała.

– Znajduje się obecnie przy Sylwii.

– Czy on wie kim pan jest? – zapytała młoda dziewczyna drżącym głosem.

– Nie jeszcze.

– Ale pan mu to powie.

– Powiem, ale wówczas dopiero, kiedy mój zamiar dojdzie do skutku.

Fernanda westchnęła głęboko.

– Dobrze! – Frank będzie szczęśliwy. Ojciec jego pomszczony, majątek przywrócony. Tego tylko pragnęłam gorąco dla niego. Poświęciłam życie temu zadaniu, a skoro już wypełnione zostało, nie mam tu więcej co robić. Żegnam pana, panie Lopez.

Młoda dziewczyna wyciągnęła rękę do pożegnania, ale Lopez nie przyjął, patrząc ze zdziwieniem w jej twarz pobladłą.

– Co to ma znaczyć? – zapytał – Czy pani myśli już o opuszczeniu nas?

– Tak trzeba.

– Bez widzenia się z Frankiem? To niemożebne, panno Fernando.

– I pocóż mam go jeszcze widzieć i mówić z nim? – odparła Fernanda ze smutkiem.

– Ależ on tego pragnie gorąco.

– Tak pan sądzi?

– Dlaczego chce pani w to wątpić? – zawołał żywo Lopez – Uczyniła pani dla niego rzecz, za którą całe życie wdzięczny pani będzie.

– Spełniłam tylko obowiązek – wymówiła z prostotą młoda dziewczyna – i nie spodziewam się żadnej nagrody.

– I gdzież się pani teraz udać zamierza? – zapytał Lopez, obserwując ją bacznie.

– Nie wiem jeszcze.

– Ojciec pani nie żyje.

– Biedny ojciec! – szepnęła Fernanda, nie mogąc się oprzeć wzruszeniu.

– Jest pani bez rodziny... przyjaciół...

Lekkie drżenie przebiegło twarz Fernandy.

Lopez serdecznym ruchem przyciągnął ją do siebie i pocałował łagodnie w czoło.

– Fernando! – rzekł głębokim głosem – Jestem już stary i bardzo zmęczony życiem. Przed kilkoma dniami przyszła mi pewna myśl do głowy Czy mogę ci ją wyjawić, moje dziecko?

Fernanda podniosła na twarz Lopeza wzrok, w którym łzy błyszczały.

– Myśl? – powtórzyła wolno.

– Łudziłem się nadzieją, że może zechcesz zamieszkać przy mnie i opromienić swoją młodością samotność, która na mnie czeka po spełnieniu naszej wspólnej misyi! – wyrzekł drżącym głosem Lopez.

– Czy to możebne? – zawołała młoda dziewczyna.

– Dlaczego nie, moje drogie dziecko. Kochałem zawsze dzieci, a nie miałem ich nigdy, chociaż pragnąłem tego tak gorąco przez całe moje życie. Zamiast syna, mógłbym mieć teraz córkę, gdybyś tylko zechciała.

Fernanda spuściła oczy i nie odpowiedziała. Pierś jej podnosiła się z trudem i nie była zdolną do żadnego poruszenia, ani słowa.

– A przytem – ciągnął dalej Lopez łagodnie – nie bylibyśmy może sami w schronieniu, którebyśmy sobie wybrali za stałe nasze mieszkanie...

– Jakto? – spytała Fernanda.

– Frank by przybył połączyć się z nami.

– On! – zawołała młoda dziewczyna ze zdziwieniem cofając się – On!?

– On również żył dotąd w samotności i opuszczeniu. Nie posiada żadnej rodziny... I jeżeli stryj jego nie zastąpiłby mu ojca, może poszukałby w innem uczuciu silniejszem, szczęścia, którego był pozbawiony przez całą swoją młodość.

Fernanda uśmiechnęła się smutno.

– Pan Frank będzie teraz dosyć bogatym, aby wybrać sobie do woli. – odpowiedziała z goryczą.

– Mylisz się, Fernando. Frank jest jeszcze bardzo młody, to prawda, ale charakter posiada wyrobiony i poważny. On patrzy na życie z idealnej, wyższej strony i w kompromisy ze samym sobą nigdy wchodzić nie będzie. Ot, masz przykład, moje dziecko, zdawało się niegdyś Frankowi, że kocha Sylwię de Compans, teraz Sylwia należeć do niego może, jeżeli tylko on tego zechce, a jednak nie zawahał się ani minuty.

– To prawda! – szepnęła Fernanda, zamyślając się głęboko.

– Zresztą, Frank nie umie jeszcze ukrywać swoich uczuć – mówił dalej Lopez – i podchwyciłem pewną jego tajemnicę, z którejby może nie chciał jeszcze zwierzyć się nikomu.

– Tajemnicę?

– Frank zajęty jest jakiemś głębszem uczuciem. Przysiągłbym na to.

– Co pan mówi?!

– To jakaś ukryta miłość.

– Zwierzył się panu?

– Nie... ale wiem, że ta miłość...

Lopez przerwał i uśmiechnął się.

– Nie powinienem może mówić ci o niej, moje dziecko! – dodał zniżając głos.

– Dlaczego? Dlaczego, panie Lopez? – zawołała młoda dziewczyna ze wzruszeniem.

– Frank jest obecnie pod wrażeniem dziwnego uczucia, przed którem broni się napróżno. Kobieta, którą kocha, jest młoda, ładna, sympatyczna, a jednak on lęka się tej miłości, lęka się poddać tej sile, która porywa go mimowoli.

– Lęka się! – powtórzyła Fernanda.

– Tak jest.

– A więc ta kobieta musi być niegodną przywiązania, jakie w nim obudziła?

– Nie, przeciwnie, ona jest godną miłości Franka! – zaprzeczył Lopez żywo.

– A więc?

– Frank ma pewną wątpliwość.

– Jaką?

– Ta kobieta ma nieprzyjaciół... Oni to pragną rozłączyć to co los sam złączyć zamierza, i aby doprowadzić do tego, powiedzieli mu o niej rzeczy straszne.

– Czy nie może mnie pan jaśniej objaśnić? zapytała Fernanda, z prośbą w głosie.

– Mówili mu o przeszłości.

– I co dalej?

– Chciano go przekonać, że ta kobieta została wmieszaną w sprawę morderstwa jego ojca, że dotąd prowadziła bardzo tajemnicze życie, że majątek jej pochodzi z nie bardzo jasnego źródła i wiele jeszcze podobnych rzeczy.

– I pan Frank uwierzył w to wszystko? – zapytała Fernanda cichym głosem.

– Frank dużo nad tem cierpiał, Fernando. Nie chciał wierzyć, aby mu powiedziano prawdę, a jednak w duszy jego może pozostał ślad jakiś przykry. Ale on jest z gruntu szlachetny, a przedewszystkiem, moje dziecko, kocha szczerze i gorąco.

– Skąd pan wie o tem?

– Jestem przekonany, Fernando, że się nie mylę – odparł żywo Lopez.

Ale młoda kobieta potrząsnęła głową przeczącym ruchem.

– Pan może tego pragnie dla niego, mój przyjacielu – wyrzekła poważnie – i to panu wystarcza. Ale ta kobieta może nie pragnie być kochaną w ten sposób. Gdybym była na jej miejscu – dodała z westchnieniem – uciekłabym daleko, nie chcąc ulegać miłości, którą zaciemniają podobne względy.

– Tak, ale czy ona potrafi to uczynić? – zawołał Lopez żywo.

– Dlaczego?

– Czyż nie kocha sama? Czyż jej miłość nie jest również silna, jak miłość Franka?

– A gdyby nawet tak było?

– Czy miałaby odwagę narazić się dobrowolnie na podobne cierpienie?

– Musiałaby je znaleźć w sobie, mój przyjacielu – odparła młoda dziewczyna ze wzruszeniem. – Jestem kobietą i łatwo postawić się mogę w takiem położeniu. A więc, wyznaję szczerze, że gdyby to o mnie chodziło, nie zawahałabym się ani chwili i odjechałabym, choćby mnie to wiele kosztować miało.

Lopez serdecznym ruchem uścisnął rękę młodej kobiety.

– Zresztą niema jeszcze o czem mówić – rzekł, patrząc na nią uważnie. – Mam nadzieję, że ta kobieta zechce być jeszcze cierpliwą czas jakiś i nie przedsięweźmie żadnej decyzyi bez głębokiego zastanowienia się. Frank jej potrzebuje jeszcze i to wystarczy, aby pozostała przy nim.

Fernanda nie odpowiedziała. Lopez postąpił ku drzwiom, dając znak Paskalowi aby szedł za nim i wszyscy troje wyszli z małego domku, aby udać się do willi, skąd gwar zabawy dochodził coraz żywszy i donośniejszy.

Tymczasem w willi bankiera de Compans gotował się wypadek, którego nikt z zebranych, a najmniej sam gospodarz domyślać się nawet nie mógł.

Oktawiusz Gaudin, po rozmowie z Lopezem, która rozdrażniła go do najwyższego stopnia, wsiadł do powozu i kazał się zawieźć do willi w Bierres. Był głęboko przejęty słowami przyjaciela Franka, i napróżno szukał w tych półzwierzeniach słowa prawdy, mogącego mu rozświetlić całą sytuacyę. Pierwsza myśl młodego człowieka wyrosła na podstawie bardzo realnej. Sądził przez chwilę, że pan de Compans znaleźć się mógł niespodziewanie w ciężkich warunkach finansowych, a w takim razie żeniąc się ze Sylwią czyniłby krok bardzo nierozważny i lekkomyślny. Niemiłe to przypuszczenie nie męczyło go jednak zbyt długo. Tego samego dnia informował się pomiędzy znajomymi na giełdzie i wiadomości, jakie odebrał w tym kierunku, były dla niego jak najpomyślniejsze. Wspaniałej fortunie bankiera de Compans nietylko nie groziło żadne niebezpieczeństwo, ale przeciwnie, w ostatnich czasach pan de Compans, dzięki swojej zręczności, zrobił kilka doskonałych interesów, które potwierdziły opinię, jaką o nim ogólnie miano.

Z tej strony więc Oktawiusz był zupełnie uspokojony. Był teraz przekonany, że Lopez rozmyślnie obudził w nim te podejrzenia, aby go odsunąć od Sylwii i ułatwić Frankowi zwalczenie ostatnich przeszkód, które go od niej oddalały.

Ale nie łatwo było omylić czujność tak wytrawnego i praktycznego człowieka, jakim był Oktawiusz.

Jadąc do willi Bierres rozmyślał nad tem wszystkiem i doszedł do przekonania, że Lopez chwycił się przecież bardzo naiwnych środków do dojścia do zamierzonego celu.

Upłynęła godzina zanim przybył do domu bankiera.

Wysiadłszy z powozu nie kazał się zaprowadzić głównem wejściem przez park, lecz przesunął się ostrożnie wzdłuż muru okalającego willę i zadzwonił do bocznych, niewielkich drzwi.

Oczekiwano go tu widocznie, bo zaledwie dźwięk dzwonka przebrzmiał, drzwi otworzyły się.

– Czy to pan, panie Oktawiuszu – zapytał głos kobiecy.

– Tak, to ja – odparł młody człowiek pewnym głosem.

Otworzono i wpuszczono go do wnętrza.

Park z tej strony nie był oświetlony i ciemność nieprzenikniona rozległa się wokoło. Oktawiusz z trudem postępował za pokojową, wskazującą mu drogę i doszedł w ten sposób do jakichś schodów krętych, używanych przez służbę.

W parę minut później znajdował się w pokoju Sylwii de Compans.

Na kominku palił się suty ogień, rzucając wesołe błyski wokoło. Lampa przyciemniona abażurem roztaczała niepewne światło na pokój, tonący w półzmroku. Oktawiusz ostrożnie, aby nie potrącać sprzętów, doszedł do kanapki, znajdującej się przed kominkiem i usiadł.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Zajścia w Krakowie.

W urzędowej „Gazecie Lwowskiej“ czytamy: „Ubolewania godne zajścia, jakie wydarzyły się w Krakowie od dnia 16. do 21. kwietnia, wywołały w prasie wiedeńskiej, a między innemi w „Neue Fr. Presse“ z dnia 23. kwietnia rozmaite przesadzone wieści.

Jesteśmy upoważnieni do przedstawienia tych zajść w prawdziwem świetle i do zaznaczenia z całym naciskiem, że wybuchły one przedewszystkiem na tle braków aprowizacyi, którym na razie nie można było zaradzić. Bezpośrednim powodem rozruchów była pogłoska, że od włościan, na targ przybywających, masowo i po cenach nadmiernie wysokich wykupywane są artykuły żywności. Tłum, złożony przeważnie z niedorostków, podążył z rynku Kleparskiego przez plac Szczepański na Rynek główny. W tym pochodzie, hamowanym przez organa policyjne, tłuczono szyby i rzucano się na sklepy spożywcze, które plądrowano. Wśród tego, już bardzo wzburzonego tłumu, obiegać poczęły najrozmaitsze pogłoski, a między innemi i ta, że pewien izraelita, nazwiskiem Meller, zmarł wskutek pobicia przez ekscendentów. Pogłoska okazała się najzupełniej fałszywą, jak bowiem stwierdził dr med. Bernaciński, a następnie wykazała sekcya zwłok, dokonana w zakładzie medycyny sądowej, Meller ów zmarł wskutek udaru serca i na jego zwłokach nie było żadnego śladu obrażeń cielesnych. Wybryki jednak wzburzonego tłumu nie ustawały, a gdy straż policyjna nie była już w stanie ich powstrzymać, zażądano asystencyi wojskowej. Insultowane i zarzucane kamieniami wojsko usiłowało zrazu rozpędzać tłumy białą bronią, gdy jednak to pomimo kilkakrotnych wezwań okazało się bezskuteczne, musiało zrobić użytek z broni palnej, wskutek czego kilka osób zostało zranionych i niestety życie 2 osób padło ofiarą.

Z tego i na aktach urzędowych opartego, zupełnie przedmiotowego przedstawienia stanu rzeczy wynika, że rozruchy w Krakowie miały przedewszystkiem charakter tak zwanych rozruchów „głodowych“, wywołanych skutkiem braków aprowizacyi, że sprawozdania dzienników wiedeńskich, usiłujących im nadać inny charakter, są o wiele przesadzone, że wreszcie śmierć owego izraelity Mellera wynikła z przyczyn naturalnych, mianowicie udaru serca.

Jak z doniesień telegraficznych okazuje się, nastąpiło już w Krakowie znaczne uspokojenie i to do tego stopnia, że zarządzenia policyjne, ograniczające ruch w mieście, mogły być cofnięte. Wątpić też nie można, że wpływ sfer poważnych, oraz zarządzenia władz dla usunięcia najdotkliwszych braków aprowizacyi, wprowadzą zupełne uspokojenie“.



Z walk na Zachodzie: Noyon pod ogniem artyleryi francuskiej (Fot. Bufa)



Z walk na Zachodzie: Ulica w Noyon zniszczona ogniem cięższej artyleryi francuskiej. (Fot. Bufa)



Zajścia w Krakowie: S. p. Elżbieta Lempertówna, zmarła tragiczną śmiercią na ul. św. Filipa.



Z walk na Zachodzie: Ruiny liceum w Laon, uszkodzonego pociskami artyleryi (Fot. Bufa

Kronika tygodniowa.

Skończyły się nareszcie kwietniowe niespodzianki, rozpoczynamy piękny maj, mający być mokrym na żądanie rolników, aby urodzaje dopisały. Czy tak jednakowoż będzie, tego dziś nikt przewidzieć nie może. Wszystko zawisło od niebieskiego referenta, od pogody, który i w maju może nam zgotować niejedną niespodziankę w poruczonym sobie zakresie działania.

Najgorsze miesiące, marzec i kwiecień, należą już do przeszłości, w niejednego więc i w niejedną wstępuje otucha, choćby tylko ze względu na stare przysłowie, mówiące:

„Jeśli marzec przeżył starzec
Będzie zdrów,
A gdy baba w kwietniu słaba,
Pacierz zmów!"

Kto więc był w tem niezbyt miłem położeniu, iż zacytowane wyżej przysłowie mógł do siebie zastosować, a wyszedł cało, odetchnął, maj bowiem, gdy cała przyroda budzi się do nowego życia, dodaje mu otuchy. Kto więc ma bodaj trochę czasu spieszy na planty, by tam paść swe oko widokiem drzew kasztanowych, pokrywających się świeżym liściem .. tytoniowym.

Jeśli maj ma jaką wadę, to tylko tą, że zupełnie niepotrzebnie ma aż trzydzieści jeden dni. Tyle razy reformowano już kalendarz, że byłby najwyższy czas, aby się znalazł jakiś nowy reformator i pookrawał wszystkie miesiące, by były tak długie jak luty. Z tych resztek, jakie po tej operacyi zostaną, można będzie ulepić nowy miesiąc, trzynasty, a chyba żaden urzędnik nie zgniewa się o to, jeżeli w roku trzynaście razy, a nie jak dotąd, dwanaście będzie się mógł zgłosić w kasie po wypłatę gaży. Nad tem warto się zastanowić, jest to projekt zasługujący ze wszech miar, jeśli nie na uwzględnienie, to bodaj na gruntowne rozpatrzenie, z wykluczeniem przecież odesłania go „do komisyi", co równa się zwykle pogrzebaniu żywcem.

W maju rojno więc na plantacyach miejskich, jak to już zresztą wyżej wspomniałem. Wszystkie zmysły znajdują tu pewne ukontentowanie, zwłaszcza zaś słuch, mogący się delektować głosem, wprawdzie nie słowików, bo tych tu niema, ale gawronów, zastępujących je zupełnie dobrze.

Po inne lata, nawet w roku ubiegłym wypowiadano o tym czasie gawronom wojnę na śmierć i życie. Anglik do Niemca i odwrotnie nie odnosi się z taką zawziętością, z jaką je tępiono z urzędu na żądanie zwłaszcza nadobnych Krakowianek, nie pragnących bynajmniej nadprogramowych ozdób na swych kapeluszach. Poniewczasie przypomniano sobie przecież, że gawrony to bardzo ważny artykuł aprowizacyjny. Zwłaszcza mięso młodych, należycie przyprawione, ma być prawdziwym specyałem, przypomina bowiem zupełnie kuropatwę, tak jak nasz kot domowy zająca. Ale trudno się było o tem przekonać „na swoje własne podniebienie", gdyż tymczasem ród gawronów, zrażony niegościnnem przyjęciem, jakiego doznał ze strony Krakowian, wyniósł się gdzieindziej.

W tym roku opamiętano się, ale cóż z tego, skoro znowu gawrony nie dopisały. Była już nawet podobno wyznaczona specyalna komisya, mająca za zadanie obliczyć, ile sztuk tej „dziczyzny" można będzie dostarczyć dla obywatelskich kuchni wojennych, znalazł się także i przedsiębiorca, który polowanie na gawrony miejskie miał objąć w swój zarząd.

Ostatecznie pokazało się, że z tego wszystkiego nic nie będzie i że na mięso gawronie liczyć nie możemy.

To wszystko, co dotąd napisałem o maju, jest właściwie tylko wstępem, na którym miało się oprzeć wytłumaczenie kronikarza, dlaczego sam nie jest majowo usposobiony.

Otóż w pierwszej linii dlatego, iż pierwszą majową kronikę pisze w kwietniu i to w samym jego końcu, więc w czasie, w którym każdy, żyjący z miesięcznej pensyi, cierpi zwykle na suchoty kieszeniowe i idącą z niemi w parze czarną melancholię. A jest ona nawet czarniejszą od atramentu, którym kronikarz spisuje swe wrażenia z całego tygodnia, nawiasem mówiąc bardzo taniego, kosztującego bowiem „tylko" osiemdziesiąt halerzy za flaszeczkę, za którą się dawniej płaciło sześć centów, czyli halerzy dwanaście. Papier, na który kronikarz przelewa z kałamarza swe natchnienie, doszedł już do jedenastu halerzy za arkusz, co wszystko razem wziąwszy, nie można chyba wymagać odeń „majowego" nastroju.

I kiedy się to wszystko skończy?... Oto pytanie, na które nie jest w stanie dać odpowiedzi nawet filozof! Clemenceau powiada, że ofenzywa niemiecka na zachodnim froncie idzie zupełnie po myśli koalicyi, tego samego zdania jest Lloyd George, Amerykanie ogłaszają, że rozpoczęli budowę fabryk artykułów wojennych, które w pełnym ruchu będą już w roku... 1920. Jak więc z tego widać, na koniec wojny wcale się nie zanosi, w miarę zaś jej przeciągania się stosunki stawać się muszą z każdym dniem coraz to nieznośniejsze.

Ot, weźmy pod uwagę tylko tak niewinne, a dla kronikarza tak niezbędne artykuły, jak papier i atrament. Jeśli pójdzie dalej w tym samym stosunku, jak dotąd, nie będzie absolutnie w stanie zaopatrzyć się w nie, *ergo* nie będzie miał czem i na czem napisać kroniki. Powie kto może, że trzeba było pamiętać o przyszłości i zaopatrzyć się na czarną godzinę w odpowiednie zapasy. Można to było zrobić, to prawda, ale kronikarz nie uczynił tego już choćby tylko z tego jedynie powodu, by go kto przypadkiem nie posądził niesłusznie o gromadzenie towarów w celach spekulacyjnych. Wymyślał nieraz na hyeny aprowizacyjne, *eo ipso* powinien też świecić dobrym przykładem i tak też czyni.

Do obniżenia „majowego" nastroju przyczyniło się nadto, tym razem już zupełnie urzędowa wiadomość o zaprowadzeniu kart tytoniowych. Ogłoszono ją w „Zbiorze ustaw i rozporządzeń dla królestw i krajów reprezentowanych w Radzie Państwa", czyli w tak zwanym po polsku *Reichsgesetzblacie*.

Dowiedzieliśmy się teraz już zupełnie na pewne, że karty tytoniowe będą zaprowadzone, że przydział na jedną osobę ma wynosić sześć cygar lub ośmnaście papierosów (ktoś mi mówił, że nawet dwanaście!...), co zaś najważniejsze, dodano wkońcu „o ile zapas starczy".

Co to zaś znaczy, zrozumie chyba każdy, kto sobie przypomni odpowiedni ustęp z poprzedniej kroniki, w którym wyraźnie zaznaczyłem, że tak się fatalnie złożyło, iż do fabrykacyi tytoniu potrzebne są jakby na złość, akurat te same liście, które mają służyć za karmę dla czworonogów. Ponieważ zaś mają te czworonogi nad nami tę wyższość, iż posiadają po cztery nogi, gdy my tylko po dwie, należy im się zatem stanowczo pierwszeństwo. Nikt zresztą nie może z góry przewidzieć, jaki będzie w tym roku zbiór liści kasztanowych, bukowych itp.

Niewiasty w danym wypadku nie dały rady!... Nie przyznano im równouprawnienia z płcią brzydką co do prawa otrzymywania kart tytoniowych, wobec czego młodsze muszą się pożegnać z paleniem (oallić się... może każda, jeśli ma do kogo!..), starsze zaś z zażywaniem tabaczki. Nie wątpię, iż mężczyźni będą w tym kierunku paskudnymi egoistami i z praw swych i przywilejów na rzecz płci tak zwanej nadobnej ani krzty nie opuszczą.

Bo i proszę mi powiedzieć, co to jest sześć cygar na tydzień dla palacza, który przez cały dzień nie wypuszcza z ust cygara, z niem się do łóżka kładzie, po nie sięga ledwie rano oczy otworzy. Teraz nie dość, że w jednym dniu skazany będzie na post tytoniowy, w inne dni będzie zmuszony obejść się jedną sztuką, gdy ich dawniej dziesięć lub więcej potrzebował. Nie pozostanie mu zatem nic innego, jak przez całe przedpołudnie patrzeć na cygaro i cieszyć się nadzieją przyjemności, jakiej dozna, gdy po obiedzie, choćby on był nawet z wojennej kuchni obywatelskiej, z należytem nabożeństwem je wypali. Ba, ale co robić przez całe popołudnie i wieczór, to jest w czasie, w którym się najwięcej cygar wypalało? Trzeba będzie ograniczyć się na wspomnieniach, jak południowe cygaro smakowało, albo też nałapać zeń dymu do flaszki i potem robić inhalacye. Ten ostatni sposób zdaje mi się być najpraktyczniejszym.

Ale dajmy spokój tytoniowi i cygarom, a wróćmy do owego „majowego" nastroju.

Najgorszy cios zadał mi telegram, jaki wyczytałem w naszej „sympatycznej" *Krakauerce*. Dowiedziałem się stamtąd, że w niektórych okolicach Włoch cierpi ludność już prawie od tygodnia na brak chleba. Ponieważ mam serce na biedę ludzką bardzo czułe, a odczuwam ją tem bardziej, o ile przedmiot mej litości jest od nas więcej oddalony, postanowiłem zatem oglądnąć się za jakimiś dozwolonymi środkami ratunku, już choćby tylko dlatego, aby się Włochom w ten sposób wywdzięczyć za owacyjne przyjęcie ze strony tamtejszych *lazzaronów*, którym za czasów mej bytności na półwyspie apenińskim, afiarowałem niejednego solda na zakupno *maccaroni*.

Postępując w ten sposób, poszedłem tylko w ślady naszych dobroczynnych pań, które troskliwie zbierają fundusze na zakupno krawatem i *szwimhozów* dla biednych dzieci murzyńskich lub pałeczek do jedzenia ryżu dla opuszczonych Chińczyków, a zapominają zupełnie o całym zastępie opuszczonych dzieci u nas. Marnieje też to biedactwo lub schodzi na złe drogi, powiększając kadry naszych domorosłych bolszewików.

Włochy w każdym razie bliższe — pomyślałem sobie — niż wnętrze Sahary lub Chiny. Dzięki ludziom dobrej woli, którzy czynem stwierdzili, że miłosierdzie u nas jeszcze nie wygasło, udało mi się też w krótkim czasie zebrać na rzecz głodnych Włochów sześćset dwadzieścia pięć kart chlebowo-mącznych z ostatniego tygodnia, dwieście jedenaście tłuszczowych, sto dziewięćdziesiąt marmoladowych, szesnaście mydlanych i jedną cukrową, ale z lutego. Chlebowych byłbym zebrał może i więcej, niestety, wielu ich właścicieli złakomiło się na cebulę, którą w zamian za nie wydawały miejskie sklepy. Była ona zepsuta wprawdzie, ale w każdym razie cebula.

Wydawanie świeczek zamiast mąki lub chleba, jak to już raz miało miejsce, uważam za daleko racyonalniejsze. Jest to artykuł niezbędny dla każdego, gdy natomiast rozdawnictwo cebuli, choćby nawet zepsutej, uważam za faworyzowanie tylko pewnej części, uważającej ją za przysmak narodowy.

Cebuli używa się wprawdzie do przyprawy rosołu, rozbratel z cebulą jest także bardzo dobry, ale w dzisiejszych warunkach i przy dzisiejszych cenach mięsa potrawy te znaleźć się mogą tylko po wielkopańskich stołach, to jest u tych, którzy mają coś wspólnego z aprowizacyą, dostawami, rekwizycyami itd. Zwykły śmiertelnik może więc, a nawet musi obejść się bez cebuli.

Wracam jednak do mej akcyi na rzecz głodnych Włochów. Zebrane karty opakowałem pięknie i wysłałem przez ambasadę jednego z państw neutralnych do Włoch i wyobrażam sobie jaką radość sprawię tym biedakom, którym już od tygodnia dokucza brak chleba. Wyobrażam sobie też ich wdzięczność i współczucie, gdy się dowiedzą, że my już od dwu miesięcy chleba ani mąki nie mamy!.. Kto wie, czy i oni nawzajem nie wdrożą takiejże akcyi ratunkowej na rzecz naszą, nie chciałbym jednak, by poszli w me ślady i nadesłali nam zapas swych kart chlebowych, o ile je mają i o ile można na nie tyle dostać co na nasze. Jesteśmy ludźmi i powinniśmy sobie nawzajem pomagać, gdy ten lub ów jest w biedzie.

To wszystko, co dotąd przytoczyłem i co jeszcze przytoczyć miałem, ale na zawsze zostało w kałamarzu, złożyło się na nastrój bynajmniej nie majowy, co chyba każden zrozumie i wytłumaczenie kronikarza przyjmie do swej wiadomości, jak również i zapewnienie, że następne kroniki będą już stanowczo więcej majowe, niż obecna, pisana w kwietniu. Przyczynia się do tego i ta okoliczność, że kronikarz będzie odtąd używał do pisania swych tygodniowych rozmyślań tylko atramentu alizarynowego, a ten jest początkowo pięknie zielony, więc akurat na maj się nadaje. Według zapewnień sprzedającego, ma to być towar jeszcze przedwojenny i to pochodzący z państwa dotąd jeszcze neutralnego, może więc Pan Bóg pozwoli, że owym pokojowo majowym atramentem zawiadomi kronikarz bodaj swych Czytelników o końcu wojny, gdy nie jest mu danem podpisać nim traktat pokojowy.

W takie jednak rzeczy się nie bawię, już choćby tylko z tego powodu, że odgrywanie wybitnej roli w życiu politycznem, nie jest wcale ani wygodne, ani bezpieczne. Mamy tego przykład na hr. Czerninie, któremu zarzucają publicznie w dziennikach, że wraz z drem Kühlmanem bawił się zbyt wesoło w czasie pobytu swego w Bukareszcie, z okazyi rokowań pokojowych.

Zrobił co do niego należało, z resztą czasu, jaki mu pozostał po załatwieniu czynności urzędowych, wolno mu było zrobić co mu się podobało. Kto wie zresztą, czy obaj dyplomaci nie chcieli się w ten sposób przekonać na własne oczy, uszy itd., jakie usposobienie względem mocarstw centralnych panuje wśród najszerszych sfer rumuńskiego społeczeństwa. Tymczasem znalazł się ktoś ciekawy, a może i zazdrosny i puścił wszystko na papier, a przy jego znanej cierpliwości i w świat szeroki...

Wyobrażam sobie, że ja jestem na miejscu hr. Czernina i że to o mnie pisze coś podobnego *Nowa Reforma*. Ładnie wyglądałbym, gdyby odnośny artykuł dostał się w ręce mej zacnej Weronisi. I dlatego serdecznie współczuję z hr. Czerninem, o ile jest żonaty.

Na wszystko jest przecież rada. Gdyby w danym wypadku czcigodna moja połowica chciała mi zrobić awanturę odpowiedziałbym jej najspokojniej:

— Tego wymagała racya stanu!...

W każdym jednak razie wolę, że nie jestem wybitnym politykiem, gdyż o mnie czegoś podobnego nie napiszą, a choćby się i znalazł ktoś kto chciałby mi wyświadczyć podobną niedźwiedzią przysługę, nikt nie zwróciłby na to uwagi, boć w każdym razie co kronikarz, to nie minister, albo, jeśli kto woli, odwrotnie.

Z tygodnia.

Okrojenie Polski od zachodu.

„Kuryer Poznański“ pisze:

Jak donos „Bergwerks Zeitung“, obecnie rząd pruski zamierza „obezpieczenie granic“ przeprowadzić w tej formie, iż pewną część Zagłębia Dąbrowskiego wcieli do obszaru państwa pruskiego, podczas gdy część, pozostawioną państwu polskiemu, połączy w jednostkę gospodarczą z górnośląskim obwodem przemysłowym. Projekt ten popiera większość konserwatystów, narodowych liberałów, także większość centrum Sejmu pruskiego, jak i kierujące koła partyi postępowej na wschodzie. Wobec wszystkich takich projektów aneksyjnych można tylko to jedno powiedzieć, że kopią one grób dla wszelkiej możliwości porozumienia polsko niemieckiego.

Umowa w sprawie wojska polskiego w Królestwie.

Korespondent „Wieku Nowego“ donosi:

W dniu 15 kwietnia zawarty został w Warszawie między rządem polskim a generał gubernatorem Beselerem układ wojskowy na podstawach następujących:

Powoła się natychmiast rocznik 1897, który liczy około 60 000 ludzi, ale weźmie się z tej liczby na razie tylko 10 000, resztę zaś ratami co cztery miesiące, ze względu na szczupłość materyału kadrowego.

Nominacye oficerów pozostają w ręku generał-gubernatora Beselera. Radzie Regencyjnej przysługuje jednak prawo veta.

Wojsko polskie może być użyte tylko dla sprawy granic Polski.

Komisya wojskowa ma podlegać rządowi polskiemu, ale prawdopodobnie będą jej odjęte sprawy poboru i uzupełnień, które obejmie wyższy oficer niemiecki.

Zaprzysiężenie polskiego gabinetu.

Dnia 21 kwietnia odbyło się w zamku królewskim w Warszawie zaprzysiężenie polskich ministrów i gabinetu cywilnego. Uroczystość zakończyła przemowa członka Rady Regencyjnej, Ostrowskiego.

Podziękowanie wojskom polskim.

Prezydent miasta Odessy zwrócił się do naczelnika wojsk polskich w tem mieście z następującym listem:

„Wobec tego, iż w najbliższej przyszłości wojska polskie zamierzają opuścić Odessę i udać się do kraju rodzinnego, samorząd miejski uważa za swój obowiązek obywatelski zwrócić się do was z temi słowami: W chwilach, gdy miasto było steroryzowane przez czerń, gdy ludność spokojna była rabowana i mordowana przez bandy zbrojne, polskie oddziały wojskowe jedne z pierwszych zaofiarowały zarządowi miejskiemu swe usługi w celu obrony miasta, narażając jednocześnie siebie na wymordowanie przez swych przeciwników. Uczciwie dotrzymaliście słowa. Uczciwie spełniliście wielkie i trudne zadanie obrony nie tylko życia i mienia obywateli, lecz i znacznego mienia państwowego, które ochraniały wasze liczne patrole. Wspaniałe wyćwiczenie, poważna dyscyplina, uprzejmość i grzeczność waszych żołnierzy i oficerów pozostawiły wśród ludności Odessy dobrą pamięć o was, wasza zaś obrona spokojnej ludności przed gwałtami wywołała w uczuciach wszystkich warstw ludności sympatyę dla was i wdzięczność serdeczną. Życzymy wam, panowie oficerowie i żołnierze, szczęśliwego powrotu do kraju“.

Komendantem wojsk polskich, które zyskały tak pochlebne podziękowanie jest — jak nas informują — kapitan Skrzyński, który jako oficer armii rosyjskiej, był pięciokrotnie odznaczony. Za rządów Kiereńskiego kapitan Skrzyński był prezesem Związku Kawalerów Krzyża św. Jerzego, formacyi, której zadaniem było wykształcenie wzorowego ciała oficerskiego.

Hajdamackie orgie na Ukrainie.

Gdy Rada miasta Odessy składa wojskom polskim podziękowanie za obronę mieszkańców przed gwałtami, w innych miejscowościach Ukrainy rozpoczęła się agitacya za wymordowaniem rozrzuconych tam oddziałów polskich. Uzbrojone bandy chłopskie rzucają się na żołnierzy polskich i dopuszczają się bestyalskich mordów. W poprzednim numerze pisaliśmy już o potwornej rzezi, której ofiarą padli ułani polscy w Niemirowie. Obecnie „Dziennik Kijowski“ podaje bliższe szczegóły tej potwornej zbrodni hajdamackiej.

Dnia 15 kwietnia zgromadzonym w Niemirowie ułanom polskim delegaci ukraińscy oświadczyli, że chłopi żołnierzy polskich z bronią w ręku nie wypuszczą. Nie mając naboi i straciwszy nadzieję odsieczy, porucznik Romiszewski zgodził się na nowo przedstawione warunki i podpisał umowę, na mocy której żołnierze polscy mieli złożyć broń i nie zaczepiani opuścić miasto, terytoryum zaś przez nich zajmowane — była to przestrzeń w pobliżu pałacu ks. Szczerbaczewej — mieli zająć chłopi dopiero, gdy je opuszczą wojska polskie.

Kiedy już prawie wszyscy żołnierze złożyli broń na wozy, chłopi z okrzykiem „hura“ rzucili się na nich i zaczęli ich bić. Równocześnie zaczęto wywlekać oficerów polskich, których rozbierano do naga i rozszarpywano. Tak padli oficerowie: Chamiec, Sadowski, Fiałski, starszy Węcławowicz i Żurakowski. Porucznik Mikowski uratował życie dzięki niezwykłemu wypadkowi. Mianowicie, kiedy go wywleczono do egzekucyi, zaczął szamotać się z oprawcami. Uderzony w głowę łopatą i siekierą, upadł na ziemię zalany krwią, nieprzytomny. Dobijano go później cztery razy, ostatni raz wezwały chłopów do dobijania dziewki, które spostrzegły, że „lypie oczami“, który go widziami. Życie jednak do następnego dnia rano z niego nie uszło i tak pokiód ego zabrali felczerzy do szpitala ks. Szczerbaczewej. I tu po drodze jeszcze tłum chłopski rzucił się na niego, chcąc go rozszarpać. Na szczęście jednak w tej chwili nadbiegła księżniczka Szczerbaczówna, przed której rozpaczliwym krzykiem chłopi cofnęli się. Porucznika Mikowskiego odesłano do szpitala do Winnicy, gdzie stwierdzono u niego 30 ran i szok nerwowy, ale zdaje się przetrzyma to wszystko.

Równocześnie z oficerami wymordowali chłopi i służących oficerskich. Porucznik Węcławowicz miał służącego Rosyanina, bardzo do niego przywiązanego, któremu na imię było Aleksander; nazwiska dotychczas nie można było stwierdzić. Kiedy chłopi zaczęli strzelać, służący ów zawołał, że jest „ruski“; na to chłopi przestali strzelać i — zakopali go żywcem. Trupy oficerów znaleziono później tak pomasakrowane przez chłopów, że rozpoznać ich nie było można.

W czasie tych wstrząsających zajść pluton p. Komorowskiego nie był jeszcze rozbrojony. Pluton ten trzykrotnie rzucał się do szarży i wyginął do nogi. Inni żołnierze, widząc co się dzieje, wydzierali broń chłopom, rzucali się na nich i ginęli. Pozostałych przy życiu 200 żołnierzy wojsko ukraińskie odprowadziło pod konwojem do Żmerynki, gdzie oddano ich wojskom austryackim, które odesłały ich do Winnicy.

Na starym cmentarzu we wspólnym grobie pochowano 30 oficer niemirowskich mordów. Pogrzeb był bardzo skromny, przy udziale samych kobiet wobec postrachu napadu na mężczyzn, jakiemu ulegały również i osoby cywilne.

Równocześnie z napadem na Niemirów toczyła się bitwa pod Kanawą. Mianowicie kawalerya i artylerya z okolic Tywrowa, Michałówki i Dżwonichy spieszyła do Niemirowa. Prom w Kanawie okazał się w ręku chłopów, którzy bronili przeprawy przy pomocy piechoty i kulomiotów. Artylerya rozpoczęła ostrzeliwanie Kanawy. Kiedy jednak przeprawę już zdobyto, spotkano zbiegów z Niemirowa, którzy ich poinformowali o zajściach niemirowskich i o tem, iż nie mają już po co tam iść. Rozpoczął się więc odwrót. Chłopi jednak starali się odciąć odwrót artyleryi. Aby uratować artyleryę, 70 ułanów rzuca się do szarży pod ogniem flankowym 2000 krokó w, rozbija wataha chłopskie i ratuje działa. W czasie tego boju padło 11 ludzi. Jeden oficer ciężko ranny, Piuta, zmarł następnego dnia w szpitalu w Gniewaniu, a na miejscu został zabity oficer Szeliski, autor znanych opisów podróży do Parany.

Całą dalszą drogę odwrotną odbywają wojska polskie wśród nieustannych ataków band chłopskich. W dniach 16 i 17 kwietnia oddziały polskie muszą przebijać się, tocząc bitwy pod Dżwonichą, Kliszczorem, Michałówką i Tywrowem. W czasie tych bojów artylerya i legia rycerska dokonywała cudów waleczności. Aby ocalić artyleryę, w pewnym momencie pozostawia się po dwu ludzi przy dziale, a reszta artylerzystów szarżuje na bandy chłopskie, odsuwa je i umożliwia w ten sposób przeniesienie się i zajęcie nowych pozycyi. Z oficerów zginął tu por. Pruszak, z wolentaryuszy: Skwarczyński, Prądzyński, Łuczkiewicz, Rogoziński. Wzdłuż całej drogi okazały się wszystkie wsie zmobilizowane. Wszędzie ostrzeliwano żołnierzy polskich, liczących około 400 głów, aż do Gniewania.

W rezultacie oddziały polskie udały się do Winnicy. Tu stanęły wojska polskie wobec nowego dylematu. Oto Austryacy przedstawili im ultimatum, że rozbroją ich, jeżeli nie wyruszą natychmiast do wyznaczonego im rejonu Chmielnik Janów Pików-Czerniatyńce. Równocześnie niemal jednak otrzymały rozkaz ukraińskiego komendanta powiatowego, datowany 20 kwietnia, nr. 302 tej treści:

„Naczelnikowi sztabu polskich wojsk w Winnicy. Wszelki przemarsz waszych wojsk w powiecie jest wzbroniony, a zwłaszcza do rejonu, wyznaczonego wam przez komendę austryacką, a mianowicie: do Janowa, Pikowa, Chmielnika i Czerniatyńce. Komendant piechoty pułkownik Sawicki, starszy „znaczkowy“ chorąży Korniczenko.“

Rozkaz niemieckiego komendanta Ukrainy.

Pisma kijowskie ogłaszają następujące rozporządzenie komendanta gubernialnego:

1) Na mocy rozkazu komendanta wojsk niemieckich, w Ukrainie od osób cywilnych powinna być odebrana wszystka broń.

2) Zadaniem wojsk niemieckich, wezwanych na Ukrainę, jest przeze wszystkie środki w celu przywrócenia porządku w kraju.

3) Mieć broń mogą ukraińscy i rosyjscy oficerowie, żołnierze armii ukraińskiej, milicyanci.

4) Osoby wymienione w punkcie trzecim otrzymują u komendanta niemieckiego świadectwa na prawo noszenia broni.

5) Wszystkie wydane do tego czasu świadectwa przez władze ukraińskie powinny być zwrócone razem z bronią.

6) Oddanie broni ma nastąpić w ciągu 1—5 dni.

7) W dniu oddania broni komendant winien sporządzić spis osób, które mają prawo nosić broń.

8) U kogo po oznaczonym terminie zostanie znaleziona broń lub naboje, zostanie na miejscu rozstrzelany.

9) Jeśli broń zostanie znaleziona w domu, lub w ziemi, dom będzie spalony.

Jeśli gdziekolwiek będą dane strzały lub urządzony napad zbrojny, to na część miasta lub wsi będzie nałożoną kontrybucya.

Protektorat niemiecki nad Rumunią.

Paryska agencya Havasa donosi:

Rumunia zgodziła się zupełnie na warunki pokojowe mocarstw centralnych.

Wojska niemieckie pozostaną w Rumunii, jako załogi. Niemcy będą wykonywać kontrolę nad państwową administracyą rumuńską i będą mieć prawo zarządzania rekwizycyi. Umowa w sprawie kontroli nad kolejami, tudzież dostaw nafty i zboża jeszcze nie została stanowczo załatwiona.

Właściciele i wydawcy: Spadkobiercy St. Lipińskiego. Odpow. redaktor: M. Lipińska. Klisze własnego zakładu. Drukarnia D. E. Friedleina w Krakowie, pod zarządem Pawła Madejskiego.